



MARIUSZ BYLIŃSKI

**NAPISY
KOŃCOWE**



Mariusz Byliński

Napisy końcowe

Wersja Demonstracyjna



Wydawnictwo Psychoskok
Konin 2020

Mariusz Byliński
„Napisy końcowe”

Copyright © by **Mariusz Byliński**, 2020
Copyright © by **Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.** 2020

**Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej
publikacji nie
może być reprodukowana, powielana i udostępniana w
jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.**

Redaktor prowadząca: **Renata Grześkowiak**

Projekt okładki: **Robert Rumak**

Ilustracja na okładce: **Piotr Różycki**

Korekta: **Bogusław Jusiak, Robert Olejnik**

Skład epub, mobi i pdf: **Kamil Skitek**

ISBN: 978-83-8119-695-6

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.
ul. Spółdzielców 3, pok. 325, 62-510 Konin
tel. (63) 242 02 02, kom. 695-943-706

<http://www.psychoskok.pl/>

<http://wydawnictwo.psychoskok.pl/>

e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

Zamknęli okna. Zapuścili z szelestem szare zasłony. Weszli. Ach, jest jedno okno. Jest świat na zewnątrz. Jest ten wiatr z gór, który potrząsa koronami drzew, czarnych i cienkich. Trzeba odetchnąć.

Artemio Cruz – bohater powieści Carlosa Fuentes –
„Śmierć Artemia Cruz”

A circumscribed life. What would Socrates say about that? May a life become so circumscribed that it is no longer worth living? [\[1\]](#)

Paul Rayment – bohater powieści Johna Maxwella Coetzee
– „Slow man”

I

Malcolm Murdoch uważa, że świadomość jest cechą wysoce zaawansowanych ewolucyjnie narządów biologicznych określonego typu. Ludzki jelitowy układ nerwowy składa się ze stu milionów komórek. Jeśli zatem nasze trzewia mają własne umysły, to z pewnością nie informują o tym naszych mózgów.

1.

Rtęć na samym czubku nosa. Chłodna drobina odrywa się od skóry i pełźnie ku górnej wardze. Łaskocze... To tylko mgła. Skroplona mgła. Zimna. Sterylna. Obca.

Każdego wieczora marzę, że ocknę się gdzieś indziej. Gdziekolwiek, byle z dala od jej trupiego dotyku. Gdzieś musi być takie miejsce. Nawet nie umiem go sobie wyobrazić. Marzenia. Próżne marzenia bezwładnej kupy mięsa, którą jestem.

Z każdą chwilą w tym pokoju robię się coraz słabszy. Rozpadam się. Tymczasem tamci za oknem rosną w siłę. Produkują. Jedzą. Wydalają. I mnożą się. Co noc widzę ich

ruchliwe cienie. Skradają się ku mnie. Kiedyś wreszcie wejdą do środka i nawet mnie nie zauważą. Zrobią swoje. Bez skrupułów i bez okrucieństwa. Po prostu oczyszczą teren.

Czy powinienem się skarżyć? Przecież każdy dostaje to, czego pragnie. Chciałem rozpocząć nowe życie. I mam je. W każdej sekundzie dostaję jego nową porcję.

2.

Słyszę krzątanie w kuchni. Kawa. Jej gorzki aromat dociera aż tutaj i rozpuszcza się w wilgoci. Poranna kawa. Zbutwiałe liście. Jesień? Niech będzie, że jesień. Noce zrobiły się naprawdę chłodne, a on nie zamknął okna. „Tu jest zbyt duszno, Steven. W pokoju musi być więcej tlenu, inaczej nawilżacz w respiratorze będzie kondensował parę i alarmy nie dadzą ci spać”.

Głupie gadanie. Przecież i tak prawie nie śpię. I on dobrze o tym wie.

Tłucze łyżeczką o krawędź kubka. Wybija jakiś pokraczny rytm. Powinienem krzyknąć: to jest mój kubek! Mój cholerny, własny, termoodporny kubek! Masz go wstawić do mikrofalówki i doliczyć do sześciu: raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć. I gotowe. Bierzesz kubek, stawiasz na tacę i zasuwasz. Jak chcesz, możesz policzyć kroki. Zawsze będzie tyle samo: raz, dwa, trzy, cztery, pięć i sześć.

– Jak ci minęła noc, Steven?

Jest blisko. Przyszedł starannie ogolony. I jak zwykle o poranku drży mu prawa dłoń. W zasadzie tylko dwa palce: serdeczny i środkowy. Musi odstawić tacę i ponaciągać stawy.

– Sprawdziłem pogodę – mówi. – Wiesz, po południu ma się przejaśnić. Może chciałbyś wybrać się na spacer? Przejdziemy się w stronę Wzgórz? Połazimy trochę, pójdziemy do portu, a po powrocie zrobię coś pożywneho na kolację? Miałbyś ochotę na rybę z frytkami?

Nie odpowiadam.

– I oczywiście z groszkiem. Mus z zielonego groszku zaprawię miętą, tak jak lubisz. A na deser będzie szarlotka z lodami.

Robi krótką pauzę i pyta:

– Od czego dziś zaczniemy? Kawa? Tabletki?

– Najpierw niech będzie kawa.

Udało się. Drobna uprzejmość z mojej strony. Podnoszę głowę. Podsuwa mi kubek. Pociągam pierwszy łyk. Płyn spływa po języku. Psia jego mać! Gdzie on trzyma te słomki? Mają smak płynu do płukania bielizny.

– Za ciepła?

– Możesz przynieść mi zimną wodę do tabletek?
I koniecznie weź nową słomkę.

Wychodzi prawie bezgłośnie. Będę miał jeszcze trochę czasu, żeby zdławić w sobie bezradną nienawiść. Chciałbym ugiąć kolana, wyciągnąć ręce, podrapać się w swędzący nos

i choć przez moment poczuć ciężar własnego dupska. Znowu tylko marzenia. Gdybym ich się pozbył, poczułbym się lepiej? Czy tak? Nawet tego nie mogę być pewien. Od tygodni nie widziałem własnej twarzy i zupełnie mi to nie przeszkadza. Kiedyś wreszcie zapomnę, jaki mam kolor oczu.

3.

Rurka respiratora rozmiękła i ciągnie do dołu. W środku nieznośne chlupotanie. Z całej siły spinam mięśnie twarzy, jedno chrząknięcie i lepki glut wpływa do krtani. Przełykam go. Został jeszcze jeden, wodnisty. Rozbryzguje się po ściankach gardła. Alarmy zaczynają jazgotać. Duszę się.

Wbiega i owiewa mnie ciepły strumień powietrza o zapachu anyżku.

– Podniosę ci głowę – mówi.

Zerka na wskaźniki respiratora. Szybko wyjmuje końcówkę rurki, potrząsa nią i wkłada ponownie. Teraz mogę pozbyć się resztki flegmy.

– W porządku, Steve? – pyta.

Odpowiadam mrugnięciem oczu.

– Przyniosłem ci wodę i słomkę, tak jak chciałeś. Dasz radę?

Kolejne mrugnięcie i bez trudu połykam tabletki.

Odstawia kubek. Krząta się przez chwilę, cicho stękając, i nagle zaczyna szczebiotać jak podniecona nastolatka. Nie da się tego słuchać. Tokuje, prawie nie nabierając powietrza, i rozsiewa wokół te swoje: „czy mógłbyś?”, „czy zechcesz?”, „może chciałbyś?”. Czy on nie wie, że to doprowadza mnie do obłędu? Czy na żadnym szkoleniu, a z pewnością przeszedł ich wiele, nie powiedziano mu, że nie można być zbyt grzecznym?

– Rutynowa grzeczność to nałóg – szepczę.

– Proszę?

Nie chcę żadnych rozmów. Wystarczy mi, że na moment się zamknie. Potrzebuję jeszcze chwili ciszy, żeby na dobre wydobyć się z koszmarów. Wciąż nie potrafię przyzwycząić się do tych zamazanych obrazów, które przychodzą zza granicy snu, zamglonych kadrów, z których nie potrafię wydobyć żadnego sensu. Roi mi się, że leżę w jakimś innym pokoju i patrzę w sufit, z którego zwisa tandetna lampa z wentylatorem. Patrzę na wirujące śmigła i robi mi się niedobrze. Odwracam wzrok i widzę okno wypełnione stalową poświatą. Na parapecie leżą jakieś szpargały: portfel, stos kopert, paczka fajek, butelka. Próbuje się podnieść, żeby zobaczyć widok za oknem, ale krew odpływa mi z głowy i opadam z powrotem na poduszkę. Czuję, jak prześcieradło owija się wokół moich członków, jestem spętany, otulony szczelnie wilgotnym kokonem. Szarpię się, żeby wydostać się z pułapki, i za nic nie mogę się ruszyć. Chcę krzyknąć, ale z ust wydobywa mi się tylko cichy świst. I wówczas się budzę. Przerażony i wyczerpany.

4.

Obraca mnie na lewy bok tak szybko, że prawie tego nie zauważam. Zdążył już opasać się foliowym fartuchem i włożyć winylowe rękawiczki. Teraz z pewnością kładzie lewą dłoń na moim pośladku, a wskazujący palec prawej wsuwa do mojego wnętrza. Nawet nie wiem, czy czopek wszedł jak trzeba. Słyszę tylko plaśnięcie zdejmowanych rękawiczek. Przykrywa mnie delikatnie kołdrą i dezynfekuje dłonie antyseptycznym żelem. Teraz zacznie się kwadrans bezczynnego czekania, a potem na dobre dobierze się do mojego tyłka i wyleci ze mnie wszystko, co nagromadziło się w bebechach. Zadusi mnie własny smród i zapragnę tylko jednego. Czego zapragnę? Zniknąć? Umrzeć? Uciec? Żadnej z tych rzeczy nie jestem w stanie zrobić.

Skrećam szyję i zerkam na niego, a on odwzajemnia się grymasem, który naśladuje uśmiech. Jego oczy są zupełnie bez wyrazu, ale wiem, że wciąż jest skupiony i czuję nieznośny ciężar jego spojrzenia. Przemykam powieki.

Powinienem być mu wdzięczny. Od tylu lat, każdego ranka pomaga mi się wypróżnić. Jest w tym naprawdę dobry – cierpliwy i dokładny. Często mówi, że przywykł, a nawet lubi to zajęcie. Bzdury! Nie ma nic gorszego niż ludzki fetor. Kim on jest, że każe mi wierzyć we własne kłamstwa?

– To ile lat pracujesz w zawodzie, Daniel? – cedzę, nie otwierając oczu.

– Tyle razy pytałeś. Dwadzieścia osiem.

– Ile to miesięcy?

– Znowu zaczynasz?

– Policz – nalegam.

– Trzysta trzydzieści sześć.

– A ile to będzie dni?

Nie odpowiada. Unoszę powieki i chyba bezwiednie się uśmiecham.

– To ja ci powiem, Daniel – chrypię.

– Powiedz, jeśli ci to sprawi satysfakcję – mówi ze spokojem.

Jest naprawdę odporny. Dobrze wie, że potrzebuję porannej sprzeczki bardziej niż kubka kawy, i z godnością znosi moje zaczepki. Wyliczam mu, ile razy w ciągu życia wymieniał zabrudzone pieluchy, ile założył cewników, ile kilometrów przemierzył, nosząc podsuwacze, pojemniki na mocz i plwociny. Pławię się w opisach wszystkich obrzydliwości, które związane są z niesprawnym ludzkim ciałem, i bardzo mnie to bawi. Chyba dlatego, że mówię o sobie. O sobie i o wszystkich podobnych do mnie, którymi musiał się zajmować. O tych cielskach bez twarzy, których imion nie pamięta – bezwładnych, ciężkich, z wilgotnymi od moczu pachwinami, o skórze wybladłej i obwisłej, pożółkłych paznokciach i posiniaczonych stopach. Zapewne, ilekroć patrzy na mnie, przypomina sobie tamtych. Jestem

dla niego przewodnikiem, który prowadzi go ścieżką od obrzydliwej przeszłości ku jeszcze bardziej obrzydliwej teraźniejszości. Steven Pomeranc – sparaliżowany przewodnik z rurką w krtani. To ja.

Zresztą kto to wie? Może on naprawdę znajduje w tym jakiś sens, którego ja nie jestem w stanie nawet przeczuć? „Nie ma sensu w poszukiwaniu sensu” mówię do siebie, nie słysząc swojego głosu, nie mając przekonania, że myśl, która napędza moje zdrętwiałe usta, jest moją myślą, a nawet tego, że to ciało, którego smród nie daje mi spokoju, należy do mnie. Bo przecież gdyby tak było, to powinienem lubić własny odór, a przynajmniej odróżniać go od innych zapachów. Gdybym mógł teraz wstać, co bym zrobił? Spojrzałbym w okno? Włożył klapki i poszedł pod prysznic? Po której stronie jest kurek z ciepłą wodą? Po lewej czy po prawej? Chwyta się go dwoma palcami, trzema? A jeśli trzema, to co dzieje się z pozostałymi?

5.

Moje jelita są już puste. Udaję, że patrzę w sufit, żeby go nie rozpraszać. Przeciera wilgotnym ręcznikiem mój miękki brzuch, uda. Cacka się z tym nieświeżym ciałem, jakby było smakowitym ciastkiem leżącym na talerzyku. Obmywa czystą wodą penis i obsypuje worek mosznowy talkiem. Mój kutas opada na zbiele jaja. Teraz kolistymi ruchami

nakłada nawilżającą emulsję na bezwładne kończyny, ogląda kolana, szukając śladów odleżyn. Gdyby znalazł na skórze choć jedno zaczerwienione miejsce, zacząłby tyradę skierowaną do samego siebie, analizowałby moją pozycję podczas snu, rozważał konieczność zastosowania dodatkowych poduszek i wałków, gotów byłby nawet wstawać w nocy, żeby przekładać moje cielsko z boku na bok. Perfekcjonista.

Patrzę na jego taniec wokół mnie jak na dziecięcą kreskówkę. Obaj jesteśmy postaciami z kreskówki, które zajęte sobą nie dostrzegają swej śmieszności. Na szczęście nikt na nas nie patrzy i nasz komizm nikomu nie służy. Dzieciaki nie śmieją się do łez, brudząc brody porannym tostem z masłem orzechowym. Usłużna mamuśka nie zerka przez ramię, nalewając im do szklanek obowiązkową porcję soku pomarańczowego. Tatuś nie podnosi oczu znad gazety, czekając na swoje jajka na bekonie i smażone pieczarki. Uwaga! Redaktor z telewizji śniadaniowej podaje przepis na smakowity poranek. Nie! Jeszcze nie teraz! Najpierw kilka newsów. Prognoza pogody i krótki reportaż znad rzeki, z której wyłowiono dziwną rybę z czaszką o ludzkim kształcie. Wędkarz nie posiada się z dumy, że okaz będzie nazwany jego imieniem.

Co za bzdury telepią mi się po głowie?

– No ile?

– Ile co, Steve?

– Ile kamer trzeba postawić w tym pokoju, żeby dobrze sfilmować takie dwie pokraki, jak my?

– Znowu chcesz mi dokuczyć?

– Nie tym razem, Daniel. Poczekam do jutra, o ile będę pamiętał, że ci to obiecałem. Rób swoje.

Teraz zajmuje się moimi dłońmi. Wmasowuje w skórę oliwkę. Ogląda każdy palec z osobna. Uciska krawędzie stawów i paluchy podrygują jak sflaczałe parówki. Przyglądam się drobnym włoskom na skórze. Są zjeżone i mieniają się. Mam na rękach błyszczące rękawiczki, chemiczną iluzję życia, która maskuje martwość wszystkich mięśni i ścięgien. Gdzieś tam, pod tymi powłokami, płynie moja krew utleniona dzięki wymyślnej pompie. Nie rozumiem, jak działa ta drogocenna gwarancja gównianego życia... Tak, do kurka trzeba by trzech palców. Jak do łyżki.

– Dasz mi zrobić stopy?

Pochyla się niżej i widzę na jego karku strużkę potu.

– Nie dam. Kopnę cię w brodę i wypadnie ci sztuczna szczeka.

– Co ma mi wypaść? Przecież jej nie mam.

– Ale ja mam, pożyczę ci.

– Ty też nie masz.

– No widzisz, Daniel, jaka spotkała nas nędza? Nawet nie mamy od kogo pożyczyć protez. Do mnie z pewnością by pasowała. Wszystko mam przecież sztuczne. Stop! Nic nie mów! Na pewno chcesz mi wyznać, że lubisz moje poczucie humoru.

– Już wolę twoje durne dowcipy niż zrządzenie.

– No i nareszcie jesteś szczery. Wierzę ci, Danielku. Moje żarciki bardziej ci odpowiadają, bo nie zakłócają twojego szlachetnego skupienia, dodajmy, że są sztuczne jak cały ja. Czy ty mi dodałeś dziś czegoś do kawy? Roznosi mnie. Jak tak dalej pójdzie, to zgłoszę się do armii albo zacznę trenować jakiś sport. Koszykówka byłaby niezła. Wsady do kosza, czujesz to?

– Trenowałeś kiedyś?

– Nie musiałem. Urodziłem się tak utalentowany, że od razu wzięli mnie do reprezentacji narodowej, ale jak się zorientowali co i jak, to wylali na zbitą mordę. Bo koszykówka, Daniel, to sport bezkontaktowy, a ja jestem, jak wiesz, bardzo kontaktowy. Czyż nie?

Chcę się zaśmiać, ale mam za mało powietrza. Muszę poczekać, aż respirator napełni mi płuca. Na razie musi wystarczyć mi stłumiony rechocik Daniela. Ciekawe, czy naprawdę bawi go moja gadanina? Chciałbym, żeby tak było. Z wdzięczności, której wprowadzie wcale nie odczuwam, ale wiem, że jest mu potrzebna, żeby uciec od myśli, że wszystkie jego starania to tylko litanie rzeczowników: wycieranie, masowanie, opukiwanie, wklepywanie, zapinanie, rozciąganie, otulanie...

6.

Lisy szamocą się w krzakach za oknem. Złapały ptaka i obrabiają go. Kwili. To już trzeci raz w tym tygodniu. Lisy urządziły sobie w naszym ogródku teren łowiecki. Daniel twierdzi, że przychodzą tu dwie rodziny, ale wkrótce może być ich więcej. Od czasu, kiedy tamci osiedlili się za Wzgórzami, dla lisów nie ma już miejsca. Gdyby chciały tam zostać, musiałyby nauczyć się żyć wśród ludzi, jak kiedyś szare wiewiórki, które nie potrzebują już drzew. Wystarczają im parkany i rusztowania. Podobno obsiadają je tak gęsto, że rano trzeba strzelać z kapiszonów, żeby je przepłoszyć. Nie mam nic przeciwko temu, żeby zadomowiły się tutaj zamiast lisów. Wiewiórki są prawie nieme. Wskakiwałyby na parapet okna i patrzyły guzikowatymi oczami, jak trzęsę się w kolejnym napadzie skurczów. Może uznałyby mnie za nietuzinkowego członka stada – wiewiórkę giganta z respiratorem marki Logan zamiast łba.

– Chodzi lisek koło drogi, nie ma ręki ani nogi – recytuję.

Wargi mam suche, ale wychodzi mi nie najgorzej. Gdyby usłyszał mnie Daniel, z pewnością uznałby, że poprawił mi się nastrój i zanotował to w swoim codziennym raporcie medycznym. Wyjątkowy naiwniak.

Nasze lisy to też wyjątkowa odmiana. Chętnie dobierają się do toreb ze śmieciami, które składujemy obok szopki na narzędzia. Żrą odpadki, robią się tłuste i ociężałe. Pewnie niedługo przestaną polować. Jak wówczas będzie wyglądać umieranie ptaków? Przestaną być płochliwe? Powstanie jakiś nowy gatunek zwierząt? Z pewnością mogę wyobrazić sobie nietotnego wróbla, wiewiórkę, która pełza miast skakać, ale

lisa, który nie wyje? Nie dam rady. Lisy są najgorsze. To zawodowi mordercy.

Trochę przesadziłem. Zupełnie zapomniałem o owadach, zwłaszcza o pająkach. Ich ruchliwa namolność jest dla mnie naprawdę groźna. Gdy któryś wlezie na sufit, zaczyna się ryzykowna gra. Najpierw obserwuję, czy stwór zacznie wypuszczać nić. Zwykle tak się staje i z obawą patrzę, czy zjeżdża na łóżko. Jeśli tak, wówczas są dwie możliwości: może przysiąść na kołdrze i nie będę go widział, albo usiądzie mi wprost na gębie i to już będzie najprawdziwsze spotkanie trzeciego stopnia. Gdybym chciał przepłoszyć go krzykiem, wibracje wzbudzą jego agresję. Zaatakuje. Wobec tego jestem zmuszony nie poruszać twarzą i czekać. Jedyna nadzieja, że zatrzyma się blisko moich warg, wtedy mogę go pochwycić, rozgryźć i połknąć, ale jeśli wlezie mi do nosa, nie mam szans. Nie obronię się. Wygra. Gramowy potworek udusi monstrum o wadze dziewięćdziesięciu kilogramów.

7.

- Przesuń bliżej, Daniel. I załóż mi słuchawki.
- Sam włączysz?
- Sam.

Przesuwa wysięgnik z monitorem, wciska mi w uszy silikonowe zatyczki i siada za swoim komputerem. Poczekam jeszcze moment, żeby popatrzeć, jak męczy się przy klawiaturze – łopatki wypychają koszulę, lewa nieco bardziej, jakby chciała oderwać się od torsu, prawe ramię drży – postępujące wiotczenie mięśni. Jest z nim coraz gorzej. Mógłby wreszcie powiedzieć: „Już nie mam siły” albo lepiej: „Rozpadam się”. Jak go znam, zabrzmiałoby to tak: „Zmagam się”. „Czego chcesz” – powiem – „jesteśmy staruchami”. Zaprzeczy i zasypie mnie stosem wyuczonych formułek, które wpajano nam przez lata: „każdemu należy się szacunek i uwaga”, „życie jest bezcenną wartością” i tak dalej. Według niego nawet żałosne podrygi mojego ciała, gdy dopadają mnie spazmy, są objawem życia, nie chce dostrzec, że przypominają przedśmiertne skurcze. Widać, bardzo boi się śmierci. Wierzy, że da się jej uniknąć, tak jak można uniknąć grypy, szczepiąc się raz do roku. W gruncie rzeczy ma wciąż naturę chłopca, a zmarszczki i przerzedzone włosy to w jego przypadku kamuflaż. On jest chłopcem, który udaje starca. A ja jestem starcem, bardziej bezbronny niż niemowlę... Nie, Danielku, tobie należy się tylko jedno życie! Ja to co innego, już przekroczyłem granicę gatunkową, nie jestem zwyczajnym homo sapiens, ale stworem wyrzuconym na pustą plażę, z której dawno wszyscy uciekli.

Podnosi się z krzesła, idzie w kąt pokoju, otwiera szufladę, wyciąga plastikową ampułkę. Wraca do mnie

i wkrapla zawartość do nebulizatora. Respirator zasysa roztwór i czuję na podniebieniu ulubione pieczenie.

– Pół miligramu i ani kropli więcej – mówi z widocznym wyrzutem.

Znowu to powiedział! Bez tego wiem, że nie cierpi mojego kalekiego palenia. Nie chce w nim uczestniczyć, bo nie pasuje mu do roli, jaką sobie przypisał – siostry czy raczej brata miłosierdzia. Sądzi, że podając mi dawkę nikotyny, sprzeniewierza się swej misji. Zupełnie inaczej reaguje, gdy jest zmuszony podać mi to paliatywne świństwo, które lekarz przepisał z uwagą „ściśła kontrola dawki”. Nie wzdryga się jak teraz, bo przecież jest tutaj, żeby okiełznać cierpienie, wziąć je w ramki i uczynić z niego kolorowy landszaft z mottem: „Kaleństwo nie wyklucza radości życia, a współczesna medycyna jest w stanie złagodzić każdy fizyczny ból”.

Moja pneumatyczna myszka jest niezawodna. Ustnik świetnie imituje końcówkę papierosa. Pykam miarowo, pochrząkuję i jednocześnie otwieram pliki ze skanami. Nie wiem, po co przesłali mi je ze szpitala. Nadają się jedynie do zabawy. Dobrze i to. Oglądanie własnego mózgu może być pocieszne. Klik. Dzień dobry, mój mózdzku. Miło cię widzieć. Pozwolisz, że się przedstawię. Jestem Steven Pomeranc. Ładny jesteś, mój wewnętrzczaskowy orzechu. Szkoda, że tak kiepsko działasz. Pozwolisz, że ci trochę pomogę.

Otaczam obraz pomarańczową poświatą i wprowadzam go w ruch. Teraz wypełniam tło granatem i wypuszczam mózg

w przestrzeń. Jest samotną planetą krążącą w kosmosie. Kręci się i zostawia za sobą świetliste smugi. Oddala się ode mnie i powraca. Dlaczego ma być tak staromodnie samotny? Klik. Multiplikacja i już. W nieskończonych sferach wirują dziesiątki, setki, tysiące, miliony mózdków. Cóż to za widok! Chwila przed Wielkim Wybuchem. Początek początków i koniec ostateczny w jednym ujęciu.

Stop! Zgubiłem go. Który jest mój? Klik. No i mam cię. Co mi teraz powiesz zdezelowany strzępie materii? Podróż się udała? Co widziałeś? Czy wiesz już, kim jest Steven Pomeranc? Bo ja mam z tym problem. Czy widziałeś jego szkołę? No to gimnazjum, liceum, cokolwiek to było. Jest tam boisko, albo lepiej park, jakieś dobre miejsce, gdzie się schować i zapalić papierosa? On pali? Nie wiesz. A ma dziewczynę? Piegowata? Chyba nie. Raczej brunetka z orlim nosem. Kocha ją? Cisza? Jestem tobą zawiedziony. Tak o ciebie dbam, tak umiejętnie podtruwam, a ty nic! Dobrze, wobec tego trzymajmy się żelaznej logiki. Przyjmijmy, że Steven Pomeranc to ja. To założenie robocze. Kim jest zatem Adam Pomeranc? Przypuszczam, że może być jego ojcem, synem, albo bratem. Załóżmy, że to syn. To teraz mi powiedz, gdzie Steven Pomeranc spłodził Adama? Czy było to w łóżku? Znowu nic. To beznadziejne.

– Daniel!

– Potrzebujesz czegoś?

Pochylił się nade mną. Czytam z ruchu jego warg.

– Rozmawiam z moim mózgiem.

Szczerzy zęby. Zdejmuje mi słuchawki.

- I co powiedział?
- Sęć w tym, że moje organy nie chcą ze mną gadać.
- Robię listę zakupów, masz ochotę na jakieś przekąski?
- dyskretnie zmienia temat.
- Moja wątroba ma ochotę na gruszkowy jogurt i orzeszki pistacjowe.
- Dobrze, co do jogurtu zgoda, orzeszki też mogą być, byle nie za dużo.
- Lubię twoją dbałość o moją linię – mówię i przymykam oczy.

Bezczelnie kłamię. Prawda brzmiałaby mniej budująco. Objadam się specjałami, które mi przygotowuje, a potem męczy mnie zgaga. Nie skarżę się. O tak, potrafi mi dogodzić: nawet zwykła surówka ze świeżej marchewki ma wykwintny smak, jest idealnie doprawiona sokiem z limonki i posypana wiórkami kokosowymi. Kiedy mi ją podaje, oddziela idealnie równe porcje, a jeśli zdarzy się, że niechcący oślinię łyżeczkę, wyciera ją nasączonym wodą gazikiem. Jego przecierowe zupki to już prawdziwe mistrzostwo – idealna konsystencja, subtelny zapach i kolor. I mają piękne nazwy. Ta beżowa to *bisque*. Ma aromat morza. Z czego on ją robi? Z krewetek, krabów i... Brakuje mi słowa. Za mało tlenu.

- Za mało tlenu!
- Jestem, Steven.
- Głowa mnie zaczyna boleć!

– Już sprawdzam. Saturacja jest w porządku. Pewnie skoczyło ci ciśnienie. Opróżnię torbę.

Pochyla się, żeby opróżnić pojemnik na mocz. Nie widzę, jak odkręca zaworek i napełnia butelkę uryną. Spływa do niej cały ból. Wciąż pulsują mi skronie, ale łupanie pod czaszką ustało. Teraz pewnie zapadnę w sen... *Bi-sque*.

Koniec Wersji Demonstracyjnej